

Marta Kochmańska-Kuczek

**Wspomnienia mojej Mamy Stefanii Kochmańskiej  
z d. Hoduńko. Ur. 5.11.1912 r. w Krościenku  
nad Dunajcem (rok ukończenia gimnazjum 1932)**

Ze wspomnień Mamy wybrałam portrety kilku uczących ją profesorów w latach 1926-1932 i związanych z nimi zdarzeń charakteryzujących ówczesnie stosowane metody wychowawcze, w tym także indywidualny stosunek do ucznia.

**Ks. Piotr SZPILA**

Wieloletni dyrektor Gimnazjum w Leżajsku. Mówił gwarą mimo wykształcenia, był apodyktyczny, nie rozumiał młodzieży i nie znosił postępu, zwłaszcza w modzie damskiej. Dziewczyny chodziły do szkoły w układanych spódniczkach i bluzie z marynarskim kołnierzem. Spódnice miały w pasie gumkę. Z uwagi na strach przed dyrektorem, w szkole dziewczęta chodziły w spódnicach do kostek, a po lekcjach podnosiły je pod bluzą nad biust i tym sposobem zachowywały modną ówczesnie (do kolan) długość spódnicy.

Bardzo zabawne zdarzenie, a zarazem charakteryzujące „zacięcie pedagogiczne” dyrektora ks. Szpila miało miejsce w okresie, kiedy już chodziłam do jednej z wyższych klas gimnazjum. Młodzież zorganizowała w zimie kulig oczywiście w biały dzień. Mama nie pozwoliła mi na tę eskapadę, bowiem dowiedziała się, że młodzież będzie sama, bez opieki pedagoga. Impreza była bardzo udana, ale znalazła się jakaś „bezinteresowna” osoba, która doniosła dyrektorowi o samowolnie zorganizowanej zabawie na śniegu. Dyrektor na następny dzień na apelu porannym przy całej szkole wywołał jedną z tych uczennic, która miała „czelność” uczestniczyć w kuligu, kazał jej opowiedzieć, jak przebiegała impreza, a następnie przy całej szkole zaśpiewać piosenkę, jaką tam młodzież śpiewała. Była to moja koleżanka Irena Zawilska - bardzo dobra uczennica, ale kompletnie nie miała głosu. Biedaczka zmuszona do odśpiewania piosenki „Titina, ach Titina, ty jesteś cud dziewczyna” doprowadziła całą szkołę do ataku śmiechu duszonego ze strachu przed dyrektorem. Grono nauczycielskie też z trudem powstrzymywało się od śmiechu, a biedna dziewczyna, fałszując niemilosiernie, śpiewała i płakała na przemian.

Mnie i mojego brata nie lubił, bowiem nasz ojciec upominał się o niższą wczesnym, jaka przysługiwała dzieciom urzędników państwowych i nie otrzymałszy jej, odwołał się skutecznie do kuratorium. Zawsze więc, kiedy dyrektor przychodził do klasy na hospitację i np. na matematyce po odpytaniu

wybranych przez nauczyciela uczniów, wskazywał na mnie, mówiąc: „jeszcze te” - drżałam, bowiem z matematyki i fizyki prześlizgiwałam się dzięki pilności i dobroci uczących.

### **Prof. Deodat JANOTKA**

Uczył matematyki i był powszechnie lubiany, z pewnością z tego powodu, że za dużo nie wymagał. Przechadzał się z nami na przerwach po dziedzińcu szkolnym, chodził starannie ubrany i nosił binokle. Kiedy dowiedzieliśmy się, że wyprowadza się z Leżajska do Krakowa, bardzo byliśmy zmartwieni. Podeszłam do niego i powiedziałam z rozpaczą w głosie: „Panie profesorze, to niemożliwe, że nas Pan opuszcza, ja nie wierzę”. A na to profesor dowcipnie: „Uwierzysz, jak zmierzysz dwójami”.

### **Prof. Alojzy FICOWSKI**

Uczył fizyki. Był żonaty z kobietą o „dalekowschodnich” rysach - podobno Japonką. Miał zwyczaj zapisywania ocen nie tylko w dzienniku lekcyjnym, ale też prowadził zapiski we własnym notesie dotyczące danych personalnych ucznia, ocen i spostrzeżeń dotyczących odpowiedzi na jego pytania. Przed jednym z okresów klasyfikacyjnych okazało się, że będę miała na okres dwóję z fizyki, mimo że nie byłam pytana. Mama zarzuciła mi zatajenie tego faktu przed nią. W rozpacz opowiadałam naszemu katechecie księdzu Lubasowi o swoim nieszczęściu, zaklinając się, że nie byłam pytana, przy czym powoływałam się na skrupulatność prof. Ficowskiego, licząc, że po interwencji księdza i sprawdzeniu notatek profesor przepyta mnie z bieżącego materiału. Ksiądz - ponieważ mnie lubił, udał się do profesora Ficowskiego z prośbą o sprawdzenie w notesie, czy przypadkiem nie zaszła jakaś pomyłka, bowiem ja nie miałam dwój na okres. Ficowski się obruszył i obiecał księdzu, że przepyta mnie, ale z całego materiału, aby - skoro czuję się pokrzywdzona - sprawiedliwości stało się zadość. Wpadłam w jeszcze większą rozpacz, uznając, że z całego materiału to na pewno dostanę dwóję, bo nie było już czasu na powtórkę, a poza tym nie należałam do orłów z przedmiotów ścisłych. Ksiądz więc - wobec uporu profesora i potoku łez uczennicy - udał się do dyrektora z interwencją. Profesor skapitulował i nie pytając już mnie, dał mi na okres trójkę.

### **Ks. Stanisław LUBAS**

Był postawnym mężczyzną, chodził na długie spacery - niejednokrotnie z grupą młodzieży. Założył Sodalicję Marjańską i bardzo lubił pracę z młodzieżą, wyrażając dbałość nie tylko o ich kondycję duchową i religijną, ale też o fizyczną. Był moim katechetą, a także dawał mi ślub, który brałam w klasztorze, tj. w bazylice. Pewnego razu wracałam wieczorem od koleżanki

Grębowskiej, u której się nauczyliśmy. Koleżanka odprowadzała mnie. Było już dość późno i po drodze spotkałyśmy będącego na spacerze księdza Lubasa. Ksiądz skarcił nas nie za to, że chodzimy wieczorami, ale że za długo się uczymy, mówiąc: „Panienci, najzdrowszy sen jest między 21 a 24 i wiedźcie, że zdrowie jest najważniejsze, a dopiero potem nauka”. Ksiądz zachęcał młodzież do czytania odpowiednich lektur, pożyczając im z własnej biblioteki książki, jednakże życzył sobie, aby nie przychodziło pojedynczo, lecz w grupie. Dbal o własne i młodych dobre imię. Po wybuchu wojny został przez Niemców umieszczony w obozie koncentracyjnym, podobno upodlony do granic wytrzymałości, bity po twarzy, umarł w krótkim czasie. Ci, którzy przeżyli obóz, mówili, że wyglądał jak obłąkany. Nie chciał też korzystać z dodatkowych racji żywności, które chciał mu, tak jak innym z Leżajska, dostarczać mieszkaniac Leżajska pracujący w kuchni obozowej.

#### **Prof. Józef GRÖGER**

Uczył geografii i historii. Ja byłam piątkowiczką z przedmiotów humanistycznych, a więc i z historii. Jednakże w dniu matury profesor zawałał mnie za budynek boczny gimnazjum, ten od strony kamienicy, obecnie pp. Dziubów, i konspiracyjnym szeptem powiedział mi, jakie przygotował dla mnie pytania. Mówiąc szczerze, mimo strachu przed maturą, rozbawił mnie ten fakt, bo nie przewidywałam tego, abym mogła „potknąć się” na maturze z historii, jednakże było to po pierwsze mile, a po drugie przypuszczalnie profesor chciał uniknąć ewentualnego potknięcia się dobrej uczennicy z powodu tremy maturalnej, czy ze strachu.

#### **Prof. Józef DEPOWSKI**

Uczył języka polskiego. Był postawnym, bardzo przystojnym mężczyzną, ale dziewczyny nie kochały się w nim, tak jak w innych, „tych brzydszych”, jednakże mających to „coś” w sobie. Lubił mnie i lubił generalnie młodzież, chociaż bywał czasami złośliwy, ale raczej tylko w słowach. Przed maturą, powtarzając materiał, zadawał przyszłym maturzystom pytania, które później miały być na ustnej maturze. Nie wszyscy notowali, ale ja - jako bardzo pilna uczennica - tak. Już po maturze pisemnej, a przed ustną, prof. Depowski zapytał mnie, czy notowałam pytania, bo gdzieś sobie je zagubił. Poprosił o spisanie tych pytań i oddanie mu ich. Ja pisemną maturę z polskiego zdałam na piątkę, byłam więc zwolniona z ustnego i te pytania nie miały dla mnie żadnego już znaczenia. Wiedząc, że Depowski mnie lubi, zaryzykowałam i zrobiłam coś, co do dzisiaj uważam, że było to pociągnięcie - łagodnie rzecz ujmując, trochę nazbyt śmiało i ryzykowne. Niemniej jednak poszłam do tych kolegów, które były słabe z polskiego i ustaliłam z nimi, na jakie pytanie potrafią bardzo dobrze odpowiedzieć na pewno, a następnie ołów-

kiem dopisałam przy pytaniach nazwiska i na końcu dopisek do profesora: „miej serce i patrzaj w serce”. Oczywiście profesor na maturze „przemaglował” te dziewczyny, zadając im też inne pytania, jednakże każdej zadał to zaznaczone - jak koło ratunkowe - i dziewczyny zdały maturę. Uważam, że tym czynem wykazał klasę jako pedagoga i człowieka.

#### **Prof. Stanisław GDULA**

Został zatrudniony na miejsce ulubionego prof. Janotki. Był bardzo poważny i wymagający. Młodzież bała się go, ale skoro zdałam maturę, to znaczy, że albo coś tam jednak umiałam z tej matematyki, albo prof. Gdula nie był aż taki groźny. Jednakże i jego dopadła miłość, w dodatku do uczennicy Jadwigi Romańskiej i zaraz po zdaniu przez nią matury ożenił się. Po wojnie był krótko dyrektorem gimnazjum, jednakże za jego wojenną przeszłość (tajne nauczanie itp.) przeniesiono go do Niska do szkoły wieczorowej, przydzielając mu, „norę”, nie mieszkanie dla rodziny. Umarł w czasie prowadzenia lekcji na zawał serca. Wszystkie jego dzieci odziedziczyły zdolności matematyczne, ukończyły studia politechniczne, a najstarszy (obecnie na emeryturze) był profesorem zwyczajnym Politechniki Gliwickiej.

#### **Prof. Zygmunt SZEWEERA**

Uczył łaciny. W czasie I wojny światowej był ranny i dokładnie połowę twarzy miał całą w okropnych bliznach. Na jego lekcjach zachowywaliśmy się bardzo cicho nie tyle ze strachu, co z szacunku do niego. Był wymagający, ale nie przesadzał z dwójkami. Często robił klasówki i na jednej z nich tłumaczyliśmy jakiś tekst, oczywiście zaglądając sobie przez ramię. Nie byłam pewna, czy dobrze tłumaczę, a wszyscy naokoło, do których udało mi się „zapuścić żurawia”, przetłumaczyli nazwę występującego w tekście zwierzęcia i uznali, że chodzi o byka. Ja wcale nie byłam lepsza od innych, ale trochę z przekory, a trochę z braku przekonania do tego tłumaczenia wpisałam „krowa”. Przy omawianiu klasówki prof. Szewera stwierdził, że tylko moje tłumaczenie jest prawidłowe chwalił przy całej klasie moją wiedzę. Nie przyznałam się, że to czysty przypadek, lecz sumienie „gryzło” mnie na tyle, że po maturze wyznałam swój grzech profesorowi, czym go tylko rozbawiłam.

*Maria Helena Czocharzanka-Mrzyglód*

### *Reminiscencje absolwentki*

Żmudną pracą jest zszywanie niezliczonych strzępów zdarzeń, które snują się po głowie na podobieństwo pajęczyny babiego lata, ścigających się z wiatrem po polach i lasach. Tak samo ma się sprawa ze wspomnieniami, trzeba je wszystkie polapać i zespolić w jedną całość. To już było tak dawno! Pewne przeżycia ocalały już tylko w cząstce i pokryły się pyłem zapomnienia.

Zagłębiając się w to, co przeminęło, pragniemy rozpamiętywać ciągi wydarzeń, które w sposób szczególnie miały wpływ na dalsze kształtowanie się naszego wizerunku w dorosłym życiu. Jestem przekonana, że mimo różnych problemów, które przyszło nam w życiu rozwiązywać, często wracaliśmy do swojej młodości wspomnieniami, a myśli nasze krążyły wokół szkoły, a zwłaszcza ostatnich lat gimnazjum, wokół dawnych profesorów, kolegów, koleżanek, nieraz chwilowych sympatii i wyidealizowanych miłości. Często przywoływaliśmy to magiczne słowo: „nasza szkoła”, „nasza buda”, które z biegiem lat nabierało coraz to nowych blasków.

W 90. rocznicę otwarcia Gimnazjum Humanistycznego im. Bolesława Chrobrego w Leżajsku po raz kolejny rozpoczniemy sentymentalną podróż szlakiem minionego czasu. Pochłoncie nas dawny gwar korytarzy, w uszach na nowo zabrzmiały zapomniane już głosy profesorów, będziemy szukać swoich przyjaciół, nasłuchiwać dźwięku szkolnego dzwonka, którego miesięczne serce uderzające w dzwon wzywało na rozpoczęcie lekcji.

Czy odnajdziemy jeszcze siebie?

Przypomnijmy sobie dokładnie, z jakim uczuciem niepewności i strachu przekraczaliśmy po raz pierwszy progi naszej szkoły. Był to lęk przed nieznanym, niepewność, czy sprostamy wymaganiom stawianym przez surowe, nieznanne grono profesorskie. Przez kilka lat szkoła ta była dla nas „arką przysmierza między starymi a nowymi laty”, uczyła nas kochać ludzi, swoje miasto i Ojczyznę. Poila nas poezją wieszczów narodowych i uczyła trudnej sztuki życia w służbie Ojczyzny. Dzieliła z nami wszystkie radości i smutki.

Pamiętam dzień, kiedy przyszłam złożyć podanie do kl. I - był to czerwiec 1935 roku. Sekretarka powiedziała mi, że podań jest już ponad 150, a klasa będzie tylko jedna. Musiałam być wtedy blada i wyglądać na bardzo wystraszoną, bo stojący obok dyrektor Majewski pogłaskał mnie po głowie i powiedział: „Nie martw się, na pewno zdasz”. Pokochałam tę szkołę od pierwszego dnia.

Nasza klasa otrzymała na początku salę w bocznym budynku, gdzie mieścił się również sekretariat i pokój nauczycielski. Później przeniesiono nas do budynku głównego. Mieliśmy dużą salę. Pozostaliśmy w niej aż do małej matury. Sala ta była długoletnim świadkiem naszych zmagañ, wlotów i upadków, naszych trosk, zwątpieñ i nadziei.

Obok znajdowała się sala gimnastyczna wyposażona w drabinki, kozły, materace. W holu urzędował terejan, który przesiadywał z dzwonkiem przy gablocie z pieczywem i kanapkami, sprzedając je uczniom w czasie dużej przerwy po 10 gr. Nazywaliśmy go Cerberem, był bowiem obserwatorem i informatorem wszystkich osób wchodzących do budynku bądź z niego wychodzących. Był zadomowiony jak każdy „belfer”. Chodził umundurowany. Czasami zdarzało się, że sam „załatwiał”, zwłaszcza rodziców przyjeżdżających ze wsi - obiecując, że córka czy syn będzie jeszcze pytany, niech się tylko uczy. Przy wejściu do holu wołał zawsze: „Nogi wycierać!!!” Pewnego razu Julek Gumieniak wszedł na łacinie do klasy spóźniony. Trzymając buty w rękę oświadczył, że musiał nogi wycierać. Cała klasa ryknęła śmiechem, a on był zadowolony, że uniknął pytania i udawał, że nie wie, o co chodzi. Znany był jako rozrabiaka.

Innym razem, na lekcji historii, Czesiek Groch w czasie odpytywania na oceny, czując bliskość swojego nazwiska, poprosił profesora Grögera o wyjście i, widząc, że na korytarzu nie ma nikogo, przesunął wskazówki zegara wiszącego nad drzwiami wejściowymi do budynku o 15 min., po czym wszedł do klasy. Ledwo usiadł do ławki, dzwonek oznajmił koniec lekcji. Zrobił się gwar na korytarzach, młodzież wyszła z klas, profesorowie biegali i pytali, co się stało. Lekcji dalej prowadzić się nie dało, Czesiek był uratowany.

Ile nadziei pokładaliśmy - my, uczniowie - w tym dzwonku. Zwłaszcza gdy ktoś był nie przygotowany, jego dźwięk oznajmiający koniec lekcji był witany z uczuciem ulgi i zadowolenia.

Przypominam sobie również naszą olbrzymią radość, gdy pewnego razu prof. Gdula pozostawił na katedrze swój tajemniczy notes, w którym zapisywał wystawione oceny z matematyki oraz uwagi o każdym uczniu. Wielkie było nasze rozczarowanie, gdy odkryliśmy, że przy naszych nazwiskach znajdowały się jakieś hieroglify, znaczki, kropczeczki, przecinki, których nie zdołaliśmy rozszyfrować. Na następnej przerwie Staszek Partyka odniósł notes. Pan profesor uśmiechnął się i powiedział: „Spodziewałem się tego”. W czasie lekcji pod nieuwagą profesorów krążyły liściki od strony chłopców do dziewcząt i odwrotnie. Zastanawiam się dziś, ile kosztowało nas to nerwów, by karteczka nie wpadła w ręce profesora. Dla zmylenia używaliśmy literackich pseudonimów, niestety, nasz wychowawca szybko wniknął w nasze sekretne tajemnice.



W klasie robiliśmy sobie różne dowcipy, jak na przykład przywiązywanie do krzesła osób, które permanentnie zgłaszały się jako pierwsze do odpowiedzi.

Niezapomniane dla nas były wycieczki klasowe lub grupowe z prof. Kędziorówną i wychowawcą klasy prof. Gdulą do lasu klasztornego. Kiedy wyjechałam z Leżajska, często myślałam, jak by się chciało tam wrócić do tych kwiecistych lasów, błoni i pól pokrytych łanami przylaszczek, sasaneł, kaczalców, maków, bławatków i pachnących konwalii.

Klasa nasza była zgraną, lubiącą się „paczką”. Byliśmy ze sobą zżyci, nie było między nami konfliktów, byliśmy zawsze solidarni i jednomyślni. Klasa była duża, liczyła ponad 40 uczniów, młodzież pochodziła z różnych środowisk i różnych miejscowości. Koleżanki i koledzy, z którymi uczyłam się przez cztery lata, byli mili, choć każdy reprezentował inny typ.

Najmilej wspominam Jankę Sowiankę, Irkę Żelawską, Zosię Fedyk, Jankę Oleszkiewicz, Wandę Brzyską, Ewę Kielbowicz, Kryskę Wasilewską, Helę Bisównę, Daškę Martynowską, Helusię Tryniecką i Irkę Jędrzejowską. Z chłopców Zygmunta Markiewicza, Czeška Grocha, Heńka Karasia, Władka Pelkę, Jasia Pielę, Władka Kowalskiego. Bliżej połączyła nas przynależność do kółek i zespołów.

Przypominam sobie najważniejsze szczegóły szkolnego i pozaszkolnego życia. Były czasem chwile ciężkie, może czasem trudne, jednak młodzieńczy entuzjazm, wychowanie idealistyczne i religijne pozwalały wszystko przezwyciężyć.

Proces nauczania i wychowania młodzieży nie kończył się razem z godzinami lekcyjnymi i zajęciami w pracowniach. O pozaszkolny tryb życia troszczył się ks. profesor Lubas, pani profesor Kędziorówna i pan profesor Wiech.

Wychowanie fizyczne było już w tych latach powszechne. Zagadnieniom kulturalnym również poświęcano coraz więcej czasu i zwracano na nie coraz większą uwagę. Prof. Michalina Kędziorówna, a później profesor Rakoczy prowadził sekcję gimnastyki klasycznej, drużynę piłki siatkowej i kosza. Piłka nożna jako dyscyplina sportowa była raczej niegodna szanującego się studenta.

Prof. Wiech był opiekunem kółka teatralnego, dekoracyjno-artystycznego i zespołu tanecznego. To pod jego kierunkiem opracowywaliśmy programy różnych akademii i uroczystości państwowych. Główną odtwórczynią była Zofia Fedykówna, zdobiąc okna witrażami z bibułki oraz ściany fryzami kaszubskimi. Do zespołu tanecznego należały: Helena Czocharzanka, Ewa Kielbowicz, Janka Sowianka, Hela Bisówna, Daška Martynowska, a z chłopców Jasio Piel, Zygmunt Markiewicz, Władek Baj i Mietek Bielecki. Partie solo-

we tańczyłam z Jasiem Pielą. Zespół występował szczególnie na akademiach z okazji 3 Maja oraz 11 listopada, które odbywały się w Domu Narodowym.

W jesieni zespół teatralny na Dzień Oszczędności wystawił sztukę pt. „Pani Skąpicka”. Grałam w niej tytułową rolę. W ostatnim akcie widząc ogień w piecu, gdzie przechowywałam swoje oszczędności spalone nieświadomie przez służącą, mdleję, rozbijając przy tym szklankę z herbatą. Widząc to profesor Iwanowicz siedzący w pierwszym rzędzie, pewny, że zasłabłam, wpadł na scenę, aby mnie ratować. Oniemiał, gdy kurtyna się rozsunęła, a cały zespół kłaniał się publiczności.

W zespole grało kilka osób - Jaśka Oleszkiewicz, Wanda Brzyska, Irka Żelawska, Ewa Kielbowicz. Co roku tradycyjnie wystawialiśmy jasełka Rydla. Były one grane przez cały karnawał w Domu Narodowym dla mieszkańców miasta oraz dzieci szkolnych. Grałam w nich żonę Heroda, w którego wcielił się Zdziszek Zapala. Ślicznie zawsze wyglądała szopka, nad którą czuwało 40 aniołków. Do dziś w uszach słyszę przepiękną pastorałkę śpiewaną przez pasterza przychodzącego z darami: *Oj maluczki, maluczki, kiejby rękawica*. Pasterza odgrywał Jasio Goslar, później Józek Baj - obaj mieli wspaniałe głosy. Występy nasze święciły prawdziwe sukcesy. Reakcja publiczności była entuzjastyczna. Istniała przez to możliwość kontaktów z mieszkańcami, wchodziliśmy poprzez to w życie miasta, rozpowszechniając sławę szkoły, uczniów i nauczycieli. Zespoły miały pobudzać do intelektualnego i emocjonalnego zaangażowania się. Wyrabiały poczucie odpowiedzialności i poczucie piękna.

Prawie wszyscy należeliśmy do Ligi Obrony Przeciwpowietrznej i Przeciwgazowej. Często po południu odbywała się musztra wojskowa oraz strzelanie na strzelnicy. Nasza klasa stanowiła zawsze drużynę honorową w czasie defilad państwowych.

Elitarną organizacją był Związek Harcerstwa Polskiego. Praca drużyny harcerskiej koncentrowała się wokół zdobywania stopni i sprawności harcerskich. Organizacyjnie ciekawe były zbiórki, gry terenowe, biwaki, kominki - naprawa sprzętu turystycznego. Prawo harcerskie było przestrzegane. Harcerz nie pił, nie palił, zachowywał się wzorowo. Był przykładem pod każdym względem, koleżeński, zdyscyplinowany, prawdomówny. Zaszczycem było należeć do Sodalicji Mariańskiej, której założycielem i opiekunem był ks. prof. Stanisław Lubas. Przyjęcie członków odbywało się bardzo uroczysto, składanie przysięgi wierności aż do śmierci Matce Bożej było wielkim przeżyciem i wzruszeniem. Zebrania prowadzone były przez ks. profesora Lubasa oraz przez opiekunki ze starszych klas - Stefcę Tot i Kasię Zinównę. Chodziliśmy na nie wszyscy dla przyjemności i z potrzeby duchowej. Nigdy nie zapomnę nabożeństw majowych, po których śpiewaliśmy nasze hymny soda-



licyjne: żeński *Królowej swej jam wierność przysięgała* i męski *Błękitne rozwinny sztandary*. Było to przyrzeczenie wierności służby Bogu i Ojczyźnie.

Nie skłamię, jeśli stwierdzę, że szkoła była moim drugim domem. Tu się uczyłam, tu przeważnie spędzałam wolny czas. Był czas na naukę i na rozwijanie przyjaźni, które przetrwały lata.

Rok 1938/39 był dla nas ostatnią klasą gimnazjum. Wszyscy pragnęliśmy, aby ten rok był jak najmiłszy, aby wypadł jak najlepiej, ponieważ pod koniec roku czekała nas mała matura i rozstanie, gdyż wiele osób wybierało różne kierunki liceów specjalistycznych w całej Polsce. W dniu rozdania świadectw ukończenia gimnazjum otrzymaliśmy dyplomy małej matury. Uroczystość była bardzo miła. Najcenniejszą dla nas nagrodą były łzy wzruszenia, które zablęły w oczach naszych opiekunów. Byliśmy wszyscy szczęśliwi i weseli. Nie wiem, dlaczego, ale wtedy udało nam się przeniknąć dusze naszych profesorów, odkryć to, z czego do tej pory nie zdawaliśmy sobie sprawy, że szkoła to właśnie Oni. Że łączą nas z nimi więzy tak bliskie jak w rodzinie i jak wiele im zawdzięczamy.

W czerwcu 1939 roku, gdy opuszczaliśmy szkołę, nikt z nas nie przewidywał, że już nie wrócimy do niej we wrześniu.

## Nasi nauczyciele

O jakości pracy w szkole decydowali nauczyciele. Potrafiliby oni konstruktywnie oddziaływać na młodzież, rozumieli nasze problemy, posiadali swoisty dar pedagogiczny i nieprzypadkową osobowość. Umiejętnie znaleźli kontakt z młodzieżą i zainteresowali ich swoim przedmiotem. Bardzo wiele zawdzięczam moim profesorom. Spośród szkolnego grona pedagogicznego była idea służenia jak najlepiej społeczeństwu, nieustanna praca dydaktyczno-wychowawcza i głęboki patriotyzm, w jakim wychowywano nas - młodzież. To spoivo gwarantowało ciągłość pracy, jedność ludzi i instytucji oraz wiązało wszystkie te elementy w jedną nierozdzielalną całość - tworząc długoletnią tradycję.

Zespół nauczycielski traktował pracę przede wszystkim jako ważną społeczną funkcję wychowawczą młodego pokolenia. I słusznie uważaliśmy, że to oni kształtowali jutrzejsze oblicze narodu.

W okresie czterech lat od 1935 do 1939 r. mieliśmy dwóch dyrektorów.

*Dyrektor Stanisław LUBICZ-MAJEWSKI - geograf - starszy pan w okularach - rumiany na twarzy - dość tęgi, z głosem ostrym, był raczej postrachem młodzieży. Był podejrzliwy - lubił zwracać uwagę uczniom. Wieczorami wychodził z psem wilczurem na spacer, tzw. polowanie. On to wprowadził w dniu swoich imienin 8 maja dzień wolny od nauki. W dniu tym organizowaliśmy klasowe wycieczki do lasu klasztornego, gdzie odbywały się różne*

gry i zabawy sportowe. W 1937/38 roku przyszedł nowy dyrektor pan **Jan Mazur**, wysoki, postawny pan - wzbudzał od razu szacunek, posłuch i zaufanie. Do końca „nie rozszyfrowany” przez uczniów.

Naszym katechetą był **ks. prof. Stanisław LUBAS**. Posiadał on swoisty dar pedagogiczny - zawsze podkreślał, że zawód nauczycielski jest zaszczytem, dodaje splendoru i autorytetu w społeczeństwie, a takie posłannictwo nie jest dane każdemu. Był bardzo szanowany w gronie Rady Pedagogicznej - mógł nieraz działać „cuda”. Zawsze był otoczony młodzieżą. Żył z nami na stopie przyjacielskiej, ale był wymagający, na lekcjach wprowadzał nastrój spokoju i bezwzględnej ciszy - nie pamiętam, aby musiał nas kiedyś uspokajać. Był wspaniałym erudytą - znawcą historii Kościoła. Pamiętam jego egzorty, niedzielne msze święte odprawiane z wielką godnością i powagą. Chodziliśmy parami z dziedzińca szkolnego do kościoła na godzinę dziewiątą. Nikt nie sprawdzał obecności, ale kościół zawsze był zapelniony. Był naszym powiernikiem, opowiadaliśmy mu o naszych kłopotach osobistych i rodzinnych, o trudnościach w szkole. Był naszym obrońcą na posiedzeniach Rady Pedagogicznej, na których był zawsze obecny. Potrzebującym przychodził z pomocą, dyskretnie pomagał materialnie wielu uczniom. Odwiedzał w domach chorych, badał warunki mieszkających na stacjach prywatnych. Czasami zabierał grupkę osób na dłuższe spacerunki. Swoją postawą wpływał na nas dodatnio. Zawsze stosował się do zasad, które sam głosił. Był delikatny w postępowaniu - tę delikatność wprowadzał również w dziedzinie myśli, co nadawało wszystkim jego poglądom i wystąpieniom cechę szlachetności. Był postacią bardzo popularną, wszyscy znali go i witali z wielką sympatią. Był niezastąpionym przewodnikiem duchowym młodzieży, organizatorem i opiekunem Sodalicii Mariańskiej oraz grupy ministrantów.

**Profesor Józef GRÖGER** - historyk - wieloletni nauczyciel, doświadczony pedagog. Zasiadał zwykle przy katedrze i powolnym, pocziwym, spokojnym głosem rozpoczynał wykład, zawsze nawiązując do całych dziejów Polski. Miał zdolność odtwarzania postaci królów polskich - zawsze wskazywał na ich wielkość i dumę. Jako nauczyciel historii starał się wszczepiać młodzieży szacunek i zamięłowanie do przeszłości oraz właściwą interpretację terażniejszości. W ramach przypominania dziejów oręża polskiego kładł nacisk na zwycięstwa zmarnowane przez możnowładców i szlachtę. Czasami dawał się wciągać w dyskusję - specjalistami w tej dziedzinie byli chłopcy - przygotowywali sobie różne pytania, na które pan profesor starał się dokładnie odpowiedzieć, zapominając o pytaniu. Gdy uczeń był nie przygotowany, mówił: „Daję ci jeszcze ostatnią deskę ratunku. Zgłosisz się z referatem o Bolesławie Chrobrym”.

Nazywaliśmy go pieszczotliwie „Dziadkiem”. Był ogólnie lubiany. Przy pytaniu był konkretny i dokładny. Czasami, aby skrócić czas na pytanie, zapominaliśmy o przynoszeniu i rozwieszaniu map historycznych.

**Prof. Bronisław WIŚNIEWSKI** - uczył nas języka polskiego. Zakres poruszanej tematyki wykraczał daleko poza ramy programowe, wpływając w ten sposób na wyższy poziom ogólnej inteligencji, a z tej racji na większą percepcję umysłową, bardziej niezależne sądy.

Był znawcą sztuki i literatury - specjalistą gramatyki starocerkiewnej. Wykładów jego słuchało się z wielką przyjemnością. Rozkochał nas w literaturze - czytaliśmy bardzo dużo: dramaty, komedie - była to dla nas jedyna strawa duchowa, która wprawiała nas w zachwyt i uwielbienie. Uczyliśmy się na pamięć wierszy, ballad, wyjątków opisów przyrody itp. Czytaliśmy Kochanowskiego, Reja, Niemcewicza, Orzeszkową, Prusa, Zeromskiego, Norwida, Reymonta, Fredrę, a naszym katechizmem była literatura wieszczów: Mickiewicza i Słowackiego.

Z tej polskiej literatury czerpaliśmy wiedzę, wiarę w piękno języka polskiego, bogactwo treści, rozpoznawaliśmy formy poetyckie, uczyliśmy się piękna przyrody ojczystej. Aby rozpowszechnić czytelnictwo, wprowadził dzienniczkę nadobowiązkowych przeczytanych lektur. Na kontrolę ich przeznaczal dodatkowo swój wolny czas. Ocena miała wpływ na wynik końcowy.

Dlatego tak bardzo polubiłam lekcje języka polskiego. Recytowanie poezji i wyjątków z przeczytanych lektur stało się ambicją wielu uczniów. Kiedy omawiał zadania szkolne, wybierał zawsze najlepsze i najgorsze wypracowania, zawsze podawał: „Kochanie, to nie twój styl, to oderżnięta z książki str. x, werset y.” Dziwiliśmy się wtedy, jaka to głowa i jaka pamięć.

**Prof. Alojzy FICOWSKI** - uczył fizyki. Wysoki, szczupły, poważny, na jego twarzy rzadko pojawiał się uśmiech. Przesiadywał w swoim gabinecie fizyki niemal do wieczora. Gabinet ten, jak na tamte czasy, był świetnie wyposażony. W godzinach popołudniowych wybrana grupa dziewcząt i chłopców pod jego kierunkiem przygotowywała na następny dzień ćwiczenia fizyczne do każdej lekcji. Wszystkie prawa fizyki były poparte ćwiczeniami, a czasami rozwiązywaniem zadań. Wzbudzał ogólny szacunek i posłuch, zwłaszcza gdy dowiedzieliśmy się, że na jego osobowość wpłynęły osobiste przeżycia. Niwola bolszewicka w czasie I wojny światowej i wydany na niego wyrok śmierci zagłuszyły w nim radość. Ożenił się tam z Japonką - panią Laurą, której zawdzięczał życie.

Był całkowicie oddany szkole. Rozwiązywanie zadań fizycznych przychodziło nam bardzo trudno, pomagali nam nasi matematyko-fizycy: Stanisław Partyka i Danka Tryczyńska. W dużej mierze korzystaliśmy z ich podpowiadania.

**Prof. Andrzej KACZOR** - uczył nas robót ręcznych - korzystaliśmy z warsztatu stolarskiego, z chłopcami prowadził również wf., a nawet ćwiczenia sanitarno-wojskowe. Jego zajęcia prowadzone były swobodnie, służył instruktazem i fachową pomocą. Pamiętam wykonaną przez siebie tackę do noszenia szklanek z jednego kawałka drewna z uchwykami, na wierzchu był wymalowany bukiet czerwonych róż - całość pokryta lakierem. Miał zdolności artystyczno-malarskie i chętnie przekazywał swoje umiejętności nam, młodym. To dzięki niemu mówiono mi później nieraz w pracy: „Ty masz złotą rączkę”. Ogólnie był spokojny, zrównoważony, dostępny dla każdego.

**Prof. Mirosław KAPIJ** - nauczyciel języka niemieckiego - ruchliwy, niewielkiego wzrostu, starający się o względy wśród młodzieży. Lekcje jego były pełne humoru, upominał nas „ruhe dort”. Czasami bez skutku, wtedy pytał czytania z książki - niespodziewanie przerywał i pytał dalej nie uważając, rozbawioną osobę, co zwykle kończyło się oznajmieniem „fajka”. Wtedy żarty się kończyły.

Swoimi komentarzami wprowadzał swobodny nastrój, może nieco zbyt łagodny. Na przerwach przyjacielsko rozmawiał z młodzieżą - był dobronudszny - pytał do skutku. Zaufania jego czasem nadużywaliśmy dyskretnie, zanosząc do domu zeszyty szkolne do poprawy po napisanej klasówce. Mieszkał obok klasztoru. Nikt z nas nie przypuszczał, że ten człowiek-dusza w czasie okupacji po II wojnie światowej okaże się nacjonalistą ukraińskim.

**Prof. Stanisław IWANOWICZ** - dystyngowany pan, zawsze elegancko ubrany - w garniturze koloru mlecznokawowego, z laseczką. Był poważny, pozornie groźny - wzbudzał respekt i dyscyplinę. Jego lekcje przyrody odbywały się w bezwzględnej ciszy. Pod maską tej powagi krył się jednak człowiek dowcipny, o dużej wiedzy zawodowej, dużej przychylności i wyrozumiałości dla młodzieży. Prowadził za budynkiem szkolnym poletko doświadczalne. Uprawialiśmy różne rośliny, a także jarzyny. Prowadziliśmy dyżury „ogrodników”. Należało do nas plewienie, przesadzanie sadzonek i wieczorne lub ranne podlewanie. Zawsze sprawdzał naszą rzetelność. Na lekcjach przyrody prowadziliśmy zielniki różnych ziół, zbóż i kwiatów. Chodziliśmy łapać motyle, których było w naszych okolicach bardzo dużo i różnych odmian. Chodziliśmy nad stawy szukać żab oraz ryb, które później hodowaliśmy w szkolnych akwariach. Przeprowadzaliśmy różne badania i doświadczenia pod mikroskopami.

**Prof. Janina RAKOCZY** - uważała się za wyczynową sportsmenkę. Prowadziła gimnastykę z nami dopiero w czwartej klasie. Była elegancką damą - zawsze chodziła w kapeluszu. Utrzymywała pewien dystans wobec młodzieży.

Lekcje gimnastyki były urozmaicone. Na samym początku wprowadzała ćwiczenia rozgrzewające - dbała o rozwój fizyczny uczennic - ich postawę, ruchy, chód i wygląd zewnętrzny. W czasie gier i zabaw wyrabiała szlachetność współzawodnictwa.

**Prof. Michalina KĘDZIORÓWNA** - zwana przez nas „Misią” - nauczycielka wf. Swobodna, naturalna, zawsze ubrana na sportowo, obuwie nosiła na niskim obcasie, uwielbiała kolory: biały-niebieski-granatowy. Jako młoda osoba wniosła do gimnazjum wiele radości i entuzjazmu. Była organizatorką zajęć pod nazwą „gry i zabawy”, które odbywały się raz w tygodniu dla klas młodszych. Grałyśmy w siatkówkę, koszykówkę, a najczęściej w dwa ognie. Ocena z wf. uzależniona była od ćwiczeń gimnastycznych, skoków przez kozła i skrzynię, przynależności do zespołu koszykówki lub siatkówki oraz udziału w zajęciach „gry i zabawy”.

Była zawsze pogodna, wrażliwa, wyrozumiała. Uczyla współzycia, przyzwyczajala do wypoczynku na świeżym powietrzu, zwracała uwagę na pomoc koleżeńską. Była organizatorem wspólnych klasowych wycieczek.

**Prof. Władysław KLIMEK** - uczył nas łaciny w czwartej klasie. Zakochany w swoim przedmiocie. Zwracał uwagę na skandowanie tekstów oraz gramatykę. Wymagający, raczej niedostępny - nie nawiązywał bliższych kontaktów z młodzieżą.

**Prof. Rudolf SZCZEPANIEC** - również profesor łaciny. Był bardzo krótko, wyjechał do Stalowej Woli. Nazywaliśmy go „Kikaro”, bo tak wypowiadał nazwisko Cycerona. Był wysoki, szczupły. Właściwie „nie rozpoznany” ze względu na szybką zmianę miejsca pracy.

**Prof. Janina HEBAKÓWNA** - uczyła biologii. Była skromna, uczyła w klasach licealnych.

**Prof. Jan SEJDŁOWSKI** - uczył nas geografii, był również niedługo. Pamiętam z nim jedną lekcję, na której był obecny dyrektor Majewski i wizytator.

**Prof. mgr Stanisław GDULA** - matematyk. Uczyl nas matematyki od pierwszej klasy. Wykładał prosto i zrozumiale, działał na wyobraźnię przestrzenną na godzinach geometrii. Był wymagający, dzięki czemu zapewniał szkole i młodzieży wysoki poziom nauczania. Pracowity i obowiązkowy, życzliwy i wyrozumiały, zawsze sprawiedliwy. Posiadał swoiste poczucie humoru, zjednywał sobie młodzież - szacunek i miłość uczniów. Bezinteresowny w pomocy słabszym, otaczał szczególną opieką wybitnie uzdolnionych. W na-



szej klasie takim wyróżniającym się matematyko-fizykiem był Staszek Partyka, z którym pan profesor przerabiał dobrowolnie wyższą matematykę. Prof. Gduli wielu uczniów zawdzięcza dodatkowo ukierunkowanie matematyczno-fizyczne-techniczne. W czwartej klasie gimnazjalnej był naszym wychowawcą klasowym. Wspaniały wykładowca i pedagog. On to żelazną, ale jakże mądrą i troskliwą ręką, konsekwentnie wyrabiał w nas zmysł społeczny, samodzielność myślenia, systematyczność i wewnętrzną dyscyplinę. Jako wychowawca klasy znał nasze sprawy najlepiej, niemal jak swoje własne. W czasie lekcji chodził po klasie i zbierał leżące ołówki, a po dzwonku, odchodząc, mówił: „Niech każdy poznaje swój - to są ćwiczenia umysłowe”.

W związku ze zwiększonym napływem młodzieży zamiejscowej została otwarta męska bursa w budynku obok tartaku przy ul. Klasztornej. Kierownikiem i wychowawcą został prof. Gdula. Okazał się on wspaniałym organizatorem i administratorem. Odnaczał się niezmordowaną pracowitością oraz uciążliwym nadzorem nad młodzieżą bez względu na jej pochodzenie narodowe i społeczne. Każdy z wychowanków był przekonany, że u swojego wychowawcy znajdzie życzliwą, ojcowską radę. W bursie panowała serdeczna, bezpośrednia atmosfera, która z powodzeniem zastępowała wychowankom dom rodzinny.

Profesor odznaczał się wielką kulturą, spokojem i posiadał zdolność umięjętowanego podejścia do każdego. Był rygorystyczny, ale i wyrozumiały. Wiedzieliśmy, że zawsze możemy mu zaufać i w każdej sytuacji na niego liczyć.

**Prof. Zdzisław WIECH** - nauczyciel wf. Dowcipny, zawsze uśmiechnięty, obdarzony wspaniałym słuchem, miłym, donośnym głosem. Posiadał duszę artysty - był miłośnikiem tańców ludowych i towarzyskich. Miał złote serce.

To właśnie on zajmował się organizacją życia pozalekcyjnego. Za jego pobytu w gimnazjum zaczęto się troszczyć o pozaszkolny tryb życia młodzieży, o jej zainteresowania, o intelektualny i fizyczny jej rozwój. Był reżyserem i choreografem. Pamiętam, że braliśmy czynny udział w społecznym życiu szkoły. Mieliśmy szkolną orkiestrę, chór, zespół taneczny, teatrzyk amatorski. To pod jego troskliwą opieką stawiałam pierwsze kroki aktorskie. Prowadził kółko dekoracyjno-artystyczne. Pod jego kierunkiem opracowywaliśmy scenografię różnych akademii i występów młodzieży. Wywierał wpływ na życie artystyczne młodzieży. Obdarzony różnymi cechami charakteru - kontaktowy, bezpośredni, towarzyski, wesoły. Gdziekolwiek się pojawił, wprowadzał nastrój młodości. Kipiało w nim życie. Był bardzo lubiany przez młodzież.

Niech tych kilka słów będzie dowodem pamięci, jaką zachowałam o naszych nauczycielach, jako jedna z wielu uczniów i absolwentów. To oni przeznaczali dużo czasu na objaśnienie i wyłożenie materiału tak, byśmy trwale go zapamiętali. Oni zwracali uwagę na naszą aktywność, dyscyplinę, zdoby-



wanie sobie sojuszników, pozyskiwanie koleżanek i kolegów. Oni wyrabiali nawyki, które pozostały w nas na resztę dorosłego życia.

## Tajne nauczanie i matura

We wrześniu przyszedł kataklizm, jakim dla naszego pokolenia była II wojna światowa. Nasi wychowawcy od razu postanowili wytrwać przy tym, co potrafili najlepiej, czyli po prostu uczyć. A oznaczało to wówczas „tajne nauczanie” grożące utratą życia. Przez cały okres okupacji prowadzili tajną szkołę - wszystkie klasy gimnazjalne i liceum humanistyczne. Uczyć innych, to była ich recepta na to okrutne życie. Nie podejmowali oni ryzyka z nadzieją, że los im wynagrodzi trudy. Uważali, że nauczanie młodzieży to również forma oporu, ważny element naszego zbiorowego przetrwania. Inicjatywa ta była zgodna z żywotnymi interesami poważnej grupy młodzieży - odpowiadała jej aspiracjom i potrzebom.

Poszczególne uczniowie nie wiedzieli nic o sobie nawzajem - lekcje odbywały się indywidualnie. Na lekcje z matematyki chodziłam do profesora Gduli - sygnałem bezpiecznego wejścia był stojący w oknie wazon pelargonii. Po jakimś czasie domem zaczęła się interesować granatowa policja - prof. Gdula otrzymał ostrzeżenie i na dłuższy okres czasu przerwał mi naukę. Zrobiło to wiele zamętu i niepokoju, ale dzięki komendantowi Dubladze sprawa nie miała ostrych następstw. Byliśmy już bardziej ostrożni, zmienialiśmy dni i godziny spotkań, a także korzystaliśmy z tylnego wyjścia.

Program z języka polskiego przerabiałam z prof. Szleszkowskim, który zatrzymał się w Leżajsku uciekając z Poznania. Historii uczyłam się pod opieką prof. Grögera, a z pozostałych przedmiotów moja praca polegała na samodzielnym przerabianiu pewnych partii materiału. Konsultacje, na których zdawałam egzamin z każdej części zadanego materiału, odbywały się 1-3 razy w miesiącu. Już w pierwszych dniach „wolności” organizowane były egzaminy.

Matura była dla mnie jednym z najważniejszych egzaminów w życiu. Zdawałam sobie sprawę, że nie jest to klasówka, ani odpowiedź ustna, do której można przygotować się jednego wieczoru. Twardo oceniałam samą siebie. Właściwie nie miałam żadnych możliwości porównywania się z rówieśnikami. Powtórzenie materiału przychodziło mi z trudem - były to pierwsze dni niepewnej wolności, strach przed aresztowaniami, a za oknem panowała piękna pogoda. Niestety, termin był ustalony. Siedziałam nad książkami całymi dniami. Dzień przed egzaminem dostałam adres i terminarz egzaminów. Mieszkanie prywatne - domek przy ul. Sanowej. Warunki niemal ekstremalne. Dopiero tam poznałam pozostałych kandydatów. Byli to Ewa Kielbowicz, Zygmunt Czochara i Stanisław Moszkowicz.